Głos tygodnia
POGLĄDY POLEMIKI POSTULATY
DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO
Nr 405 3 VIII 1969 Rok IX

„... Lubin liczy już 25 tys. mieszkańców..."

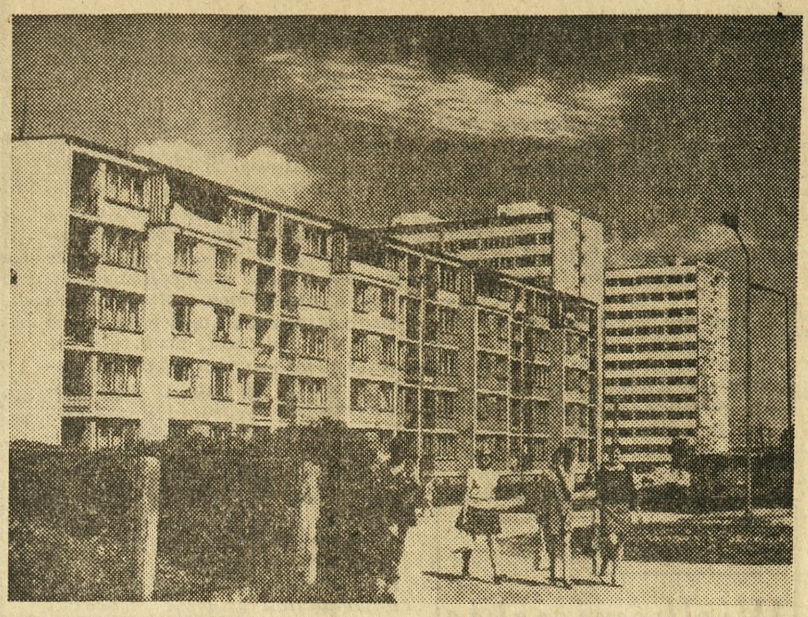

Wanda Goebel

TRZY BARWY MIEDZI

Była jednym z pierwszych metali na ziemi, które poznał i zastosował dla swoich potrzeb człowiek. Jako główny składnik brązu tworzyła historię epoki, stanowiącej przejście od jaskiniowego prymitywu i panowania kamienia do początków cywilizacji. Na długie wieki musiała później ustąpić na drugi plan przed wszechwładnym żelazem. Dopiero w XVI w. zaczęła się ponowna światowa kariera miedzi.

W Polsce, po wyczerpaniu się zasobów rud w starym zagłębiu w Łysogórach, stała się aż do czasów najnowszych surowcem deficytowym, którego brak wpływał niekorzystnie na całość gospodarki narodowej.

I oto niespełna 10 lat temu okazało się, że przywrócona krajowi po II wojnie światowej Ziemia Dolnośląska przechowywała w swym wnętrzu miedziany skarb, po węglu i siarce największe z bogactw mineralnych Polski Ludowej.

Rozwój Legnicko-Głogowskiego Zagłębia Miedziowego ma olbrzymie znaczenie dla zwiększenia bazy surowcowej i ograniczenia kosztownego importu. Od kilku lat pracują już duże kopalnie miedzi na tym terenie — „Konrad" i „Lena". Wraz z jubileuszem 25-lecia Polski Ludowej Zagłębie święciło rocznicę uruchomienia kopalni w Lubinie i Polkowicach. Są to zakłady nowoczesne, w których zastosowano najnowsze urządzenia i technologię. Postęp techniczny oraz stałe doskonalenie metod wydobywania i przeróbki rudy miedzi są tu zagadnieniem pierwszoplanowym. Mimo trudnych warunków geologicznych i uporczywej walki z zagrażającą bezpieczeństwu wodą — górnicy miedziowi mogą poszczycić się niejednym rekordowym osiągnięciem, nawet na skalę światową.

W chwili oddania do eksploatacji zdolność wydobywcza kopalni w Lubinie i Polkowicach wynosiła 25 proc.; na koniec br. dojdzie do 50 proc., w roku 1970 do 75 proc., a na koniec 1972 r. osiąg nie pełne 100 proc.

Perspektywy Legnickiego Zagłębia nie ograniczają się tylko do kontynuacji wymienionych wyżej zadań. Łączy się z nimi dynamiczna rozbudowa całego zaplecza. W przyszłym roku rozpocznie się też budowa następnej kopalni „Rudna". Oprócz rozbudowanej i unowocześnionej huty miedzi w Legnicy, rośnie huta w Łukowicach koło Głogowa. Trwają prace badawcze i projektowe; zmienia się niemal z każdym dniem oblicze całego regionu, który podobnie jak wiele innych okręgów w kraju — uzyskał wielką szansę gospodarczego awansu.

Na światowym rynku cena jednej tony miedzi waha się od 800 do 850 dolarów. Nie na próżno więc inwestuje się w rozwój Zagłębia Miedziowego miliardy złotych, mobilizując olbrzymi wysiłek umysłów i rąk ludzkich.

A ludzi do wykonywania zamierzonych zadań jest tu wciąż jeszcze za mało. Brak nie tylko fachowych kadr inżynieryjno-technicznych i ekonomicznych, ale również robotników o różnych specjalnościach, zwłaszcza budowlanych. Istnieją więc duże możliwości dla zatrudnienia nadwyżek siły roboczej, występujących w innych województwach, m. in. we wschodnich powiatach Wielkopolski.

Miasto młodości

W skład Kombinatu Górniczo-Hutniczego Miedzi w Lubinie wchodzą obecnie 4 kopalnie, huta miedzi w budowie, Zakład Doświadczalny oraz Zakłady Badawcze i Projektowe „Cuprum".

Lubin, małe, prawie doszczętnie zniszczone przez wojnę miasteczko, liczące w początkach swego związku z Polską Ludową zaledwie około 3 tys. mieszkańców, wyrosło w ciągu 10 lat na stolicę nowego zagłębia przemysłowego. Jeszcze do niedawna nazywano je Lubinem Legnickim. Tradycje historyczne sąsiednich większych miast, jak Legnica czy Głogów, były bardziej znane polskiemu społeczeństwu, a sam Lubin nie posiadał pozornie żadnych szans, aby zdobyć uprzywilejowane miejsce na mapie przemysłowej Polski. Obecnie zaś Lubin liczy już 25 tys. mieszkańców; w najbliższej perspektywie, tj. do 1975 roku, liczba ta ma wzrosnąć do około 50 tys. a w r. 1985 do 100 tys.

Na frontonie nowego dworca kolejowego świeci neonowy napis „Lubin", już bez dodatkowego określenia „Legnicki". Wyrastają w rekordowym tempie dzielnice mieszkaniowe, sklepy, szkoły, przedszkola. Zagospodarowano i odbudowano śródmieście, ładnie wkomponowując budowle zabytkowe i pozostałości murów obronnych w nowoczesną zabudowę. Miasto, otoczone siecią asfaltowych dróg, przecięte szerokimi ulicami i spoglądające w niebo szczytami wieżowców — sprawia wrażenie miejscowości o wielkim rozmachu, jest pełne ruchu i życia. Posiada wiele przestrzeni, której mimo stałej rozbudowy nie ogranicza się nadmiernie, co nadaje mu charakterystyczny kształt urbanistyczno-architektoniczny.

Lubin to miasto ludzi młodych. Zdobywają tu wiedzę fachową w szkołach zawodowych, pracują na wszystkich frontach budowy Zagłębia, otrzymują upragnione mieszkania. W znacznie większym stopniu niż gdzie indziej widać tu ich działalność zawodową, polityczną, społeczną. Dla nich też w pierwszym rzędzie Lubin stroi się w zieleń drzew i obfitość kwitnących róż, dla nich powstają nie tylko mieszkania, ale również placówki kulturalne, ośrodki sportu i wypoczynku. Sprzyja ich organizowaniu bliskość lasów i tzw. Zalewu Małomickiego, nad którym buduje się ośrodek sportów wodnych.

W mieście dużo jeszcze placów budowy i nieuporządkowanych zakątków. Ale właśnie ten olbrzymi ruch budowlany oraz sylwetki wielkich dźwigów na tle zamieszkałych już kolorowych bloków — nadają Lubinowi specyficzny urok tworzącego się centrum przemysłowego, w którym wszystko podporządkowane jest przyszłości.

Poza załogami Kombinatu prym wiodą budowlani. Aż 20 przedsiębiorstw różnego typu, od górniczych do budownictwa ogólnego, bierze udział w tworzeniu nowych dni. Jakże daleko odbiegła w krótkim czasie lubińska współczesność od smutnego obrazu powojennych ruin.

Kartka z przeszłości

Lubinianie interesują się przeszłością swego miasta, chociaż przyszli tu z różnych stron Polski. Stanowią przykład korzystnego połączenia cech charakterystycznych dla poszczególnych dzielnic, chociaż nadal łatwo odróżnić np. Ślązaka od ludzi „ze wschodu". Tradycje Dolnego Śląska przyjęli jedni i drudzy jako własne, co ma duże znaczenie dla ich pełnej integracji.

Dzieje Lubina sięgają XII w. W źródłach historycznych osiedle pojawiło się po raz pierwszy jako gród kasztelański i stopniowo uzyskiwało znaczniejszą pozycję w Polsce Piastowskiej jako osada targowa. Prawa miejskie otrzymało w XIII w. W wieku XVIII było ośrodkiem przędzalniczym i tkackim, liczącym około 3 tys. mieszkańców.

W XVI w. Lubin znajdował się pod silnymi wpływami ideologii Braci Czeskich, co spowodowało jego żywy udział w ruchach rewolucyjnych chłopów i biedoty miejskiej na Dolnym Śląsku. Dał też znać o sobie w okresie Wiosny Ludów wystąpieniami, które poza pierwiastkami socjalnymi, nawiązywały do dawnej łączności z narodem polskim. Władze pruskie zaczęły rozwijać przemysł na tym terenie dopiero pod koniec XIX w., chociaż już w okresie Odrodzenia spotykano w okolicy liczne kuźnice i fryszerki. Po zniszczeniach w czasie działań wojennych 1945 roku, nową szansę rozwoju przyniósł miastu powrót w granice Polski i budowa Zagłębia Miedziowego.

☆

Miedź. Cenny metal, o którym w słownikach i encyklopediach mówi się jako o metalu koloru „różowo-złocistego". Znamy go z różnych wyrobów codziennego użytku, wiemy że służy jako surowiec dla przemysłu elektronicznego, elektrycznego, budowlanego i zbrojeniowego. Skłonni jesteśmy na ogół do określania jego barwy jako zbliżonej do czerwieni, rudawej jak włosy tycjanowskich kobiet. Tymczasem ruda z lubińskich kopalni jest ciemna, niemal czarna, upstrzona lśniącymi punkcikami.

W atmosferze niedawnego Lipcowego Święta trudno było ustrzec się od poetyckiej przenośni o trzeciej barwie miedzi: miedź dolnośląska jest bowiem również... zielona — symboliczną zielenią dobrych nadziei.

Jan Boenigk

Kurier Liebknechta

Emigrantem stał się u schyłku ubiegłego stulecia. Znane antypolskie zarządzenie Bismarcka, godzące w najżywotniejsze interesy polskiej ludności pod zaborem pruskim, wyrywały odwiecznych gospodarzy z ich prawowitego dziedzictwa. Andrzej Zydor był już w sile wieku, kiedy wraz z małżonką, Marianną Bilińską i kilkorgiem drobnych dzieci ruszył z rodzinnego Daniszyna w powiecie pleszewskim w obcy i nieznany mu świat. W Berlinie zamieszkali w starej kamienicy czynszowej przy Friedrichsfelderstrasse 31.

Sporo lat później w roku 1934 poznałem go jako jednego z filarów polskich organizacji społecznych w stolicy Trzeciej Rzeszy, zawsze wiernego swojej polskiej organizacji robotniczej, którą stworzył przed ćwierćwieczem. Zarobkowo pracował w zakładzie stolarskim należącym do niejakiego Schmidta, najpierw w charakterze czeladnika a później już jako majster. Aktywnie działał równocześnie w zawodowym związku branżowym „Holzarbeiterverband". Na uwagę zasługuje właśnie to, że Zydor nie zamykał się w ramach polskiego życia organicznego na wychodztwie. Był socjalistą i to otwierało mu szerokie wrota do socjalistycznego świata. Na wyróżniającego się wśród sporej liczby związkowców, uwagę zwrócił przywódca niemieckiej klasy robotniczej, Karol Liebknecht. Andrzej Zydor był stałym bywalcem w domu związkowym (Gewerkschaftshaus am Engelufer). Tu i przy wielu innych okolicznościach miał możność osobistego kontaktu z człowiekiem tak wielkiej miary. Z polecenia Karola Liebknechta Andrzej Zydor wykonywał szereg ważnych zadań, m. in. kurierował do Warszawy. Ostatnia podróż w tym kierunku — jeździł w towarzystwie jeszcze jednego „faceta" — odbył na krótko przed wybuchem I wojny światowej. Przypadek zrządził, że na ich trop wpadła carska żandarmeria. Towarzysz Zydora zaginął, do Berlina już nie wrócił. Ale zadanie, jak to Zydor sam relacjonował zostało wykonane. Szkoda, że o jego współpracy i bezpośrednich kontaktach z Karolem Liebknechtem wiemy bardzo mało, że i w pamięci jego dzieci zatarło się już wiele z tego co im opowiadał.

W Lęborku mieszkają Ewa i Bronisław Kassnerowie. Ewa Kassnerowa, to właśnie jedna z córek Andrzeja Zydora. Do kraju Kassnerowie wrócili już w maju 1945 roku (jako jedni z pierwszych byłej berlińskiej Polonii). Pani Ewa mimo sędziwego wieku dobrze przypomina sobie wiele szczegółów z lat dziecięcych. Szczególnie jednak wyraziście to, że któregoś dnia, a było to jeszcze przed tamtą wojną, odbył się wielki wiec robotniczy w sali Industriehof przy Frankfurterstrasse, gdzie przemawiał Karol Liebknecht. „W tym dniu ojciec wrócił bardzo późno do domu, był jakiś inny, ożywiony bardziej niż kiedykolwiek. Ale nie mówił, nie zdradził przyczyn tego swojego zadowolenia. Dopiero po kilku dniach ujawnił matce, że na owym wielkim wiecu osobiście został wyróżniony przez Karola Liebknechta. Tajemniczo, z wielkim namaszczeniem wyciągnął ze schowka spacerową laskę z hebanowego drewna, ze srebrną krokiewką, ale to jeszcze nie wszystko. Kazał matce nałożyć okulary, by dokładnie przeczytała co jest napisane na pierścieniu w dedykacji. A było tak: Herrn Andreas Zydor zum Andenken an treue Mitarbeit, gewidmet von dr Karl Liebknecht.

Andrzej Zydor – fotografia z 1935 roku.

(„Panu Andrzejowi Zydorowi w dowód wiernej współpracy — dr Karol Liebknecht). Laska była rzeczywiście piękna. Ilekroć ojciec brał ją do ręki czuło się, że jego serce bije żywiej, że jest z tego dumny. Zabierał laskę na spacery, lecz tylko od „święta". Andrzej Zydor zawsze pozostał wierny ideom polskości i socjalizmu. Takiego znali towarzysze w warsztacie pracy, takiego poznałem i ja właśnie w roku 1934, w okresie narastającego hitlerowskiego natarcia na resztki ugrupowań politycznych, lewicowych jak i na ludność polską żyjącą w tym kraju.

W sierpniu 1935 roku zmarła Zydorowi żona. Osamotniony i potrzebujący opieki starzec, chociaż jeszcze wciąż aktywny, zamieszkał odtąd na stałe u swej córki Kassnerowej. Ale agenci gestapowscy wciąż węszyli wokół jego osoby, przeszukiwano mieszkanie i wielokrotnie był wzywany na Albrechtstrasse na przesłuchy. Przypomniano mu jego bliskie kontakty z Liebknechtem, grożono.

Przyszła wojna. Na terenie Berlina pojawili się robotnicy przymusowi, przywożeni z Polski. Andrzej Zydor poczuł się w obowiązku nawiązania z nimi kontaktów w szczególności w

Dokończenie na str. 2

Dr Michał Białokoz, lekarz medycyny z Poznania uczestniczył w kampanii wrześniowej 1939 roku jako obrońca Warszawy. Od wybuchu Powstania Warszawskiego, to znaczy od 1 sierpnia 1944 roku, był komendantem szpitala przeciwgruźliczego przy ul. Żurawiej 31 i komendantem punktu opatrunkowego przy ul. Wilczej 29a. Po upadku Powstania został szefem ewakuacji szpitali warszawskich.

Dzisiaj drukujemy drugi fragment wspomnień dr. M. Białokoza. Sądzimy, że zainteresują one naszych Czytelników bowiem dotyczą mało znanych szczegółów Powstania, faktów oglądanych oczyma lekarza. Następny fragment za tydzień.

Michał Białokoz

Wspomnienia lekarza z Powstania(2)

W czasie naszej pracy w punkcie opatrunkowym przy Wilczej braliśmy również udział w akcji przeciwpożarowej (ludzi aktywnych było mało), dyżurując na strychu i gasząc pożary, wywołane przez moździerze rakietowe — oczywiście kiedy wymagała tego sytuacja alarmowa, w każdym wypadku jeżeli nie było nic szczególnie nagłego w punkcie sanitarnym. W tych okazjach dr Apolonia Karaś-Brzozowska okazała niezwykłą odwagę, przytomność umysłu, pogardę śmierci oraz wysoko rozwinięte poczucie obowiązku w bardzo niebezpiecznych sytuacjach. Widzę ją na szczycie domu znikającą wśród kłębów dymu zapalającego pocisku — wołającą o dostarczenie wody, a na wezwanie żeby zeszła, krzyczącą, że nie ruszy się dopóki nie ustali lokalizacji pożaru. Pożar oczywiście ugaszono wspólnymi siłami.

Praca lekarska dr Karaś-Brzozowskiej była pełna poświęcenia, sprawna i skuteczna. Chodziliśmy również oboje na konsultacje ftyzjatryczne i z aparatem odmowym dla dopełnienia odmy opłucnej, na „linie bojowe" nieraz aż w okolice ul. Poznańskiej i na ul. Poznańską, a także do północnej części dzielnicy na Tamkę, Chmielną itd., gdyż sami „odmowcy" nie mogli dosłownie znaleźć czasu na przyjście do nas.

Były to wyprawy połączone — łagodnie określając — z dużymi trudnościami. Wędrowało się częściowo piwnicami, częściowo ulicami i to na długiej przestrzeni, na których ogień karabinowy „gołębiarzy", odłamki pocisków miotaczy min oraz artyleryjskich, wreszcie same pociski mogły każdej chwili razić przechodnia. Opisy „sielankowego" spokoju śródmieścia, zawarte we wspomnieniach dwóch osób umieszczonych w dziele pt. „Życie codzienne w Powstańczej Warszawie" opracowanym przez Edwarda Serwańskiego, są chyba zbyt optymistyczne. Zapewne autorzy przechodząc z „piekła" „Starówki", zwłaszcza jeśli szli kanałami, trafili na krótkie chwile odprężenia, które w porównaniu z ich poprzednimi przeżyciami stanowiły pewien kontrast.

★

10 sierpnia 1944 r. doc. dr Feliks Przesmycki, z którym pozostawałem w stałym kontakcie, polecił mi zorganizowanie i objęcie kierownictwa Szpitala Przeciwgruźliczego. Jako miejsce wybraliśmy lokal wytwórni kosmetyków w kamienicy przy ul. Żurawiej 31 oraz przylegające opuszczone lokale, które trzeba było opróżnić, odmalować i wyposażyć.

Pamiętam jak dziś, że przypadkowo znaleziony malarz nie mógł zrozumieć, że może wykonać na cele społeczne robotę bezpłatnie. Nie ze złej woli, ani z chciwości; po prostu w jego rzemieślniczej mentalności „prywaciarza" nie mieściło się pojęcie, że można coś zrobić bezpłatnie. „Jakto" — mówił — „ja nie rozumiem, żeby tak... bezpłatnie". Zażądał zresztą umiarkowanej, a właściwie — jak pamiętam — małej zapłaty, bardziej symbolicznej niż realnej. Zapłaciliśmy mu z pieniędzy uzyskanych od PCK.

15 sierpnia 1944 r. Szpital Przeciwgruźliczy przy ul. Żurawiej 31 został otwarty i przyjęliśmy pierwszego chorego.

Utworzenie szpitala przeciwgruźliczego w dzielnicy Warszawy — śródmieście było podyktowane znaczną ilością chorych na gruźlicę, szukających pomocy lekarskiej. Ponadto przemawiały za tym założenie profilaktyczne. Przy warunkach bytowania w dużej części w natłoczeniu pionicznym, szczególnie przy znacznej liczbie dzieci, zachodziła możliwość masowego zakażenia otoczenia przez chorych. Prątkowali tak, że w bezpośrednim preparacie plwociny znajdywało się pod mikroskopem wszystkie pola widzenia usiane gęsto prątkami gruźliczymi.

50 łóżek, którymi dysponował szpital w pierwszym okresie swego

Dokończenie na str. 2

Kurier Liebknechta

Dokończenie ze str. 1

celu niesienia im pomocy materialnej, nade wszystko żywności. Stary bywalec Berlina miał przecież szerokie przyjacielskie kontakty wśród piekarzy, rzeźników i drobnych kupców. Orientował się doskonale, co który z nich myśli o hitleryzmie i rozpętanej wojnie. Z kolei i oni orientowali się komu mogą zawierzyć. Uzyskaną żywność Andrzej Zydor zabierał i zanosił do umówionych kryjówek, nierzadko do ruin zburzonych nalotami budynków mieszkalnych, skąd wtajemniczeni zabierali ją w dogodnych dla siebie momentach. Wydatnie pomagała mu w tym córka, Ewa Kassnerowa. Z satysfakcją dziś jeszcze Kassnerowa o tym wspomina, dumna, że tyle mogli udzielić pomocy głodującym robotnikom. Zadowolona również z tego, że nie było ani jednego wypadku denuncjacji i nikt z tego powodu nie miał przykrych następstw. „A przecież — jak sama twierdzi — spora liczba mieszkańców kamienicy wiedziała o tym, orientowała się".

Zapisać należy to chyba na konto nastrojów politycznych, stosunku do hitlerowskiej awantury wojennej ludności, dzielnicy robotniczej, w której Kassnerowie zamieszkali. Kassnerowa opowiada żywo o tym, jak na ulicy Berlińskiej pojawiły się dzieci polskie z Krakowa. Chłopcy, ale jeszcze dzieci, przywiezieni z Krakowa po to, żeby angażować ich w pracach straży pożarnych, w warunkach bardzo niebezpiecznych, w czasie dywanowych nalotów. Chłopcy bladzi i głodni. — Ojciec — powiada Kassnerowa — pierwszy zakrzątał się wokół nich. Komuś z umundurowanych tego było za wiele. Złożył raport i ojca znowu wezwano do Gestapo. Ale spokojny, jakim był przez całe życie, wyszedł raz jeszcze obronną ręką, choć ostrzeżony, że mimo sędziwego wieku, w przyszłości mu to nie ujdzie.

I jeszcze jedna okoliczność, która Andrzeja Zydora i Kassnerów ściśle wiązała ze światem robotników przymusowych. Kassner zwolniony był jako tokarz od służby wojskowej. Później przydzielono mu młodego człowieka, przywiezionego do Berlina aż z odległego Dniepropietrowska. Młody student, syn naczelnika poczty, Iwan Tykwa nie spodziewał się, że właśnie w Berlinie znajdzie się wśród serdecznych przyjaciół. Polaków. Andrzej Zydor i Kassnerowie potraktowali Iwana jak członka rodziny, nawet więcej jak syna. Zamieszkał u nich, jadał przy wspólnym stole. Szybko opanował język polski i uczył się języka niemieckiego, zaś Kassnerowie wraz z dziećmi od niego uczyli się rosyjskiego. W chwilach wolnych Iwan, uzbrojony wiadomościami z frontów i świata spieszył do kolegów znajdujących się w barakach.

— Żeby się tak spotkać, po tylu latach, bardzo byśmy tego chcieli — mówią Kassnerowie. — Gdzie może być teraz nasz Iwan?

Wzruszający był powrót do kraju 82-letniego Andrzeja Zydora. Polscy oficerowie, zdobywcy Berlina przywieźli dzielnego patriotę — bo tak sobie życzył — do Ostrowa Wlkp. Bardzo był z tego dumny. Zmarł w dwa lata po powrocie, licząc lat 84.

JAN BOENIGK

Józef Pieprzyk

Wielkomiejskie niepokoje

Wielkie miasta budzą coraz większe zainteresowanie ekonomistów, demografów i socjologów. Niektórzy z nich przewidują, że za 50 lat 80 procent mieszkańców Europy będzie w nich mieszkać, inni zaś zaczynają wątpić. Jedni przepowiadają dalsze usprawnienia i wygody życia miejskiego, widzą już nawet ruchome chodniki, aby ludziom oszczędzić fatygi chodzenia. Równocześnie mówi się o koszmarze wielkiego miasta, o miejskim tłumie samotnych, o zatruwaniu organizmu ludzkiego powietrzem przesyconym spalinami gazowymi, o hałasie przekraczającym wytrzymałość ludzkich nerwów, o zabójczym pośpiechu, ogarniającym miejskich ludzi. Wojciech Kubicki na łamach Życia Warszawy (24. 6. br.) opierając się na konsekwencjach nowoczesnej techniki sugeruje... początek końca miast. Kto ma rację?

Przypomnijmy sobie: miasto inaczej przedstawia się w oczach stałego jego mieszkańca, inaczej w oczach człowieka z prowincji. Urbanista zaś i architekt projektując kierują się własną wizją jutrzejszego miasta. Wprowadzający się do niego i do nowego w nim mieszkania mają odrębne wizje. Wizje i realizacje nie zgadzają się ze sobą. Projektantom bowiem trudno przewidzieć, jaki w mieście będzie mieszkał człowiek, jaki będzie użytkownik nowego mieszkania. I sam lokator nie wie, czy i jak przystosuje się do narzuconych mu warunków. Mamy tu do czynienia z trudnymi do przewidzenia zmianami.

Urbaniści ongiś projektowali ciągi kamienic przy ulicach, po których toczyły się konne wozy. Kiedy jednak zjawiły się coraz liczniejsze pojazdy mechaniczne — zamieszkiwanie w tych domach stało się nieznośne. Zaczęto więc projektować bloki mieszkalne wolno stojące wśród drzew i trawników. Ta koncepcja wymaga jednak większej przestrzeni i z kolei sprawia poważne kłopoty komunikacyjne. Z tego powodu przystępuje się do budowy wieżowców. I to nie odpowiada, gdyż w wieżowcu mieszkańcy czują się wzajemnie bardziej obco niż w blokach czy kamienicach dwu-, trzech- czy czteropiętrowych. Człowiek staje się tu więźniem własnego mieszkania. Jest on uzależniony od właściwego funkcjonowania urządzeń komunalnych. Niech tylko nie popłynie prąd elektryczny, niech zabraknie wody, niech w zimie przestanie funkcjonować centralne ogrzewanie!

Kto pragnie w mieście jakoś żyć, ten musi się podporządkować zegarkowi. Kto pragnie dotrzeć do innego rejonu mieszkalnego, ten winien okazać bezwzględne posłuszeństwo licznym przepisom drogowym. Nawet we własnym mieszkaniu obowiązuje liczenie się z obecnością lokatora za ścianą.

O tym nie wie przybysz ze wsi czy miasteczka, który pragnie zatrzymać się tu na stałe. Dla niego miasto jest wielkim świętem, prezentacją modnego ubioru, miejscem, w którym nie ma ciężkiej pracy, gdyż przedsiębiorstwa wytwórcze swój trud codzienny ukrywają za murami. Liczy też na wielkie grono przyjaciół, na wieczny wolny czas, na swobodę. Powoli jednak się rozczarowuje, tęskni za rodzinnym miasteczkiem, za rodzinną wsią, za aromatycznym powietrzem, za pozostawionymi przyjaciółmi i krewnymi. Miasto — ów sztuczny twór ludzkiego bytowania — zaczyna męczyć nowo przybyłego obywatela.

Miasto przestaje być ideałem dla mieszkańców regionu. Te wszystkie udogodnienia, które oferuje, wchodzą już przecież do wielu małych miast i wiosek, do ich domów i mieszkań. I tu jest prawie takie samo zaopatrzenie w artykuły przemysłowe jak w mieście. Kontakt z miastem pozwalają utrzymać samochody i motocykle — coraz powszechniejsze na wsi. Nie przyciągają już tak silnie: teatr, kino i innego rodzaju rozrywki. Do miasteczka i na wieś dotarła przecież telewizja. Kawiarnia? Niektóre lepiej urządzone znajdziesz w wielu wioskach.

Rozwojowi miasta zagraża jeszcze coś innego, a mianowicie starzenie się mieszkańców i powolne wewnętrzne wyludnienie, gdy nie ma dopływu z zewnątrz. Dominuje w nim model rodziny z dwojgiem dzieci, a wchodzi już wzór rodziny jednodzietnej. Jeśli przyrost naturalny utrzymuje się — aczkolwiek na niskim poziomie — to tylko dzięki przedłużeniu życia o lat dwadzieścia w ciągu ostatnich 30 lat (przykład: Poznań). To znaczy że w mieście będzie coraz więcej emerytów i coraz mniej ludzi w wieku produkcyjnym. Na dopływ zaś ze wsi nie bardzo można liczyć, ponieważ w niej pod wpływem wzorów miejskich występuje już mniejsza dzietność, poza tym sama na miejscu u siebie potrzebuje usług, do tego czasu typowo miejskich. Na wsi można mieszkać i pracować w mieście. I praca w rolnictwie dzięki mechanizacji może już być ograniczona do 8 godzin tak jak w mieście.

Inaczej mówiąc — czynniki zagrażające rozwojowi wywodzą się... z miasta. To ono stworzyło u siebie tak sztuczne warunki, że trudno do nich dostosować się człowiekowi. To ono — aby utrzymać się (produkcja przemysłowa) tyle na wieś wprowadziło udogodnień, że samo przestało być siłą przyciągającą. Technika, wynalazki, automatyzacja — pozwalają zdalnie kierować produkcją, co osłabia uzasadnienie koncentracji mieszkalnej przy zakładach przemysłowych.

To wcale nie znaczy, że wielkie miasto w najbliższym czasie przestanie się rozwijać, że rozpocznie się wielki exodus ludzi do pobliskich miasteczek i wsi. Pewna część ludzi będzie jeszcze długo ciągnęła do miasta na stałe zamieszkanie. Niewątpliwie jednak będą działać silniej hamulce ekonomiczne, społeczne i psychiczne. A może coś nowego „wymyśli" miasto dla podniesienia swojej dynamiki rozwojowej? A jeśli „wymyśli" czy to zda egzamin? Człowiek jest cząstką przyrody, podlega jej prawom, które w mniejszym lub większym stopniu są niezgodne z tymi które tworzy miasto. Człowiek wprawdzie jest istotą bardzo elastyczną, potrafi się dostosować do różnych warunków, nie wiemy jednak, jak daleko może odchodzić od matki - przyrody bez szkody dla zdrowia i dobrego samopoczucia.

Wydaje się więc, że miasto powoli zaczyna tracić na swojej atrakcyjności, że zjawiły się w nim czynniki podważające jego rozwój, a tym samym stawiające pod znakiem zapytania pomyślne dla niego stawiane dotąd horoskopy.

Wspomnienia lekarza z Powstania

Dokończenie ze str. 1

istnienia zostało obłożonych całkowicie już w pierwszych dniach.

Na podwórzu była studnia z pompą, która zawierała wodę nadającą się do mycia, ale nie nadającą się do spożycia.

Naprzeciwko kamienicy nr 31 w domu przy ul. Żurawiej 24 w piwnicy z oszklonym dachem była studnia z pompą, dostarczająca bardzo dużych ilości doskonałej, czystej wody, kwalifikującej się do picia nawet w stanie surowym. Z tej studni korzystał szpital, jeśli chodzi o spożywanie w jakiejkolwiek formie, do zmywania naczyń i sterylizacji narzędzi zabiegowych. Mimo że opisana studnia była naprzeciwko, dostanie się do niej było możliwe jedynie okrężną drogą przez piwnice, połączone wybitymi otworami i barykadowany, osłonięty przełaz przez ulicę. Wymagało to dużej ilości czasu i pracy. I tu muszę podkreślić ofiarną postawę całego personelu fizycznego, który wodę tę przynosił wiadrami przez krete piwniczne drogi.

Musieliśmy podzielić stosownie do potrzeb czas naszej pracy, bo przede wszystkim trzeba było prowadzić szpital, ale tam, przy ul. Wilczej, również czekali pacjenci i mimo zawalenia robotą, chodziliśmy na wezwanie chorych do ich mieszkań.

Ustaliliśmy harmonogram naprzemiennych dyżurów w szpitalu, tak aby jedno z nas trzymało stale rękę na pulsie życia szpitalnego.

Ze szpitala przy ul. Żurawiej 31 do punktu opatrunkowo-ambulatoryjnego przy ul. Wilczej 29, a trzeba było iść następującą drogą: całą ulicą Żurawia do ulicy Kruczej, przechodziło się piwnicami, połączonymi ze sobą wybitymi w murze przejściami, następnie wychodziło się na powierzchnię na ul. Kruczej. Tam już przejść piwnicznych nie było. Ulicą Kruczą szło się aż do placyku po zniszczonym domu koło ul. Wilczej, a następnie zstępowało się do piwnic ul. Wilczej, podobnie połączonych ze sobą jak przy ul. Żurawiej i wychodziło się na podwórze domu przy ul. Wilczej 29a.

Odbywając te drogę nieśliśmy każde z nas po wiadrze wody, którą sami nalewaliśmy z pompy przy ul. Żurawiej 24, bo przy Wilczej była potrzebna i dla ambulatorium i dla nas do picia.

Rano szliśmy z pustymi wiadrami tą samą drogą w odwrotnym kierunku.

Ulica Krucza i placyk przy Wilczej pozostawały pod stałym obstrzałem z broni maszynowej, miotaczy min i artylerii ciężkiej i najcięższej. Kiedy wracaliśmy ze szpitala, Krucza wyglądała zupełnie inaczej niż z rana. Nowe, olbrzymie zniszczenia, pełno trupów i krwi, a ponadto deszcz odłamków padających dokoła oraz gwizd pocisków z broni ręcznej i maszynowej.

Kiedy rozpoczęło się bombardowanie śródmieścia ciężkim działem kolejowym, przy nadal trwającym opisanym już obstrzale, odbywanie opisywanej drogi niczym nie przypominało „sielanki". A przecież ludzie tamtędy szli i gineli, bo musieli — i my też musieliśmy iść, obciążeni w dodatku w kierunku Wilczej, wiadrami z jakże cenną wodą.

MICHAŁ BIAŁOKOZ

KRONIKA FILMOWA

„MARTWEGO SEZONU" CIĄG DALSZY

Cieszący się dużym powodzeniem film reż. Sawwy Kulisza pt. „Martwy sezon", ukazujący działalność radzieckiego wywiadu, mieć będzie ciąg dalszy. W „Mosfilmie" zatwierdzono do realizacji scenariusz zatytułowany „Komitet dziewięciu" S. Michałkowa i A. Szliepanowa. I tu również będzie mowa o walce z przygotowaniami mocarstw imperialistycznych do wojny bakteriologicznej.

BUNUEL ZNÓW ZA KAMERĄ

Luis Bunuel, który obchodził w tym roku 70 rocznicę urodzin, rozpocznie wkrótce zdjęcia do nowego filmu. Decyzja ta zmienia jego poprzednie postanowienie, że jego „ostatnim słowem" w kinematografii, swego rodzaju filmem — testamentem będzie ukończona niedawno „Droga mleczna". Odtwórczynią głównej roli w nowym filmie będzie Catherine Deneuve.

REKORDY

Amerykański producent filmowy Zanuck stwierdził, że sfilmowanie ataku na Pearl Harbour będzie kosztować dwa razy więcej niż wyniosły koszty tej operacji wojennej. Film kosztować ma 20 mln dolarów.

BOŻYSZCZA EKRANU Z LAT TRZYDZIESTYCH

Włoski reżyser Alwin Regent przystąpił do realizacji filmu, którego tytuł roboczy brzmi „Mamo, zostaw mnie, chcę zobaczyć co jest wewnątrz". Będzie w nim mowa o kulcie gwiazd i mitach otaczających aktorów filmowych w latach trzydziestych. Jedną z najpopularniejszych ówczesnych gwiazd Gretę Garbo, grać ma Marina Malfatti.

TROJA POD SOFIĄ

Bułgaria gości coraz więcej zagranicznych ekip filmowych, krzyżujących z plenerów i usług technicznych. Wkrótce rozpocznie tu zdjęcia do ekranizacji „Iliady" Homera reż. Franco Rossi. Już buduje się dekoracje ukazujące Troję.

WŁOSCY LAUREACI

Tradycyjne nagrody tzw. „Złote globusy" przyznawane we Włoszech przez zagranicznych dziennikarzy za najlepszy film oraz najwybitniejsze kreacje aktorskie roku przypadły filmowi Nello Risiego pt. „Pamiętnik schizofreniczki", Alberto Sordiemu za kreację w „Lekarzu kasy chorych" i Monice Vitti za rolę w filmie „Dziewczyna z pistoletem".

OD KANNIBALI DO KARBONARIUSZY

Szwedzka aktorka Britt Ekland, która niedawno ukończyła zdjęcia do filmu „Kannibale", przystąpiła do pracy w nowym filmie Luigi Magniego pt. „Rokupańskiego", ukazującego działalność Karbonariuszy. (PAP)

Przeglądamy Prasę

Pierwszosierpniowa rocznica — w tym roku 25 — Powstania Warszawskiego jest okazją do przedstawienia w czasopismach owych bohaterskich i tragicznych zarazem wydarzeń oraz sprecyzowania płynących z nich wniosków. Najwięcej materiałów na temat Powstania Warszawskiego przynoszą **„Argumenty"**, poświęcające temu prawie całe wydanie. Czołowa publikacja jest tu artykuł **Aleksandra Skarżyńskiego**

GRA I ATUT

w którym czytamy m. in.:

„Powstanie Warszawskie trwało 63 dni. Heroizmem żołnierzy przyćmiło wysiłek dawnych powstań, było zrywem patriotyzmu, który — być może — nie miał precedensu. Powstańcy nie żałowali krwi, umierali bez wahania i niewiele brakowało, a byłoby to pierwsze polskie powstanie, w którym „po dniach nieszczęśliwych" nie pozostałoby „smutne pół rycerzy żywych". To zasługa żołnierzy. Ale zarazem powstanie to, w przeciwieństwie do poprzednich, było niepotrzebne, a z politycznego punktu widzenia — szkodliwe. To wina przywódców.

Powstanie zamknęło pewien rozdział w dziejach kraju, rozdział pełen tragizmu i sprzeczności. Wybuchło, gdy dobiegła kresu swych możliwości tendencja historyczna, z której „londyńskie" podziemie czerpało koncepcje i tradycje. Wybuchło, bo Polska wkroczyła na nowe drogi swego rozwoju".

W tym samym tygodniku **Tadeusz Szumowski** publikuje artykuł

„POMOC" Z LONDYNU

Autor ogranicza się do tematu wskazanego w tytule. Opiera się o materiały pochodzące z archiwum Oddziału VI Sztabu Naczelnego Wodza oraz archiwum Polskich Sił Lotniczych na Zachodzie, które niedawno ujawnił we fragmentach historiograf londyński Józef Garliński.

Tadeusz Szumowski pisze m. in.: o sytuacji w okresie, kiedy powstanie już wybuchło:

„Dnia 11 sierpnia — urzędujący w zastępstwie Mikołajczyka wicepremier Kwapiński złożył wizytę wicepremierowi Attlee z żądaniem zwiększenia pomocy. Attlee, człowiek dość prosty i prosto myślący, wysunął na wstępie pytanie, w jakiej mierze rozpoczęcie akcji w Warszawie uzgodnione zostało z rządem radzieckim i brytyjskim. Po otrzymaniu wykrętnych, jezuickich odpowiedzi, Attlee powiedział bardzo rzeczowo: — Coś mi się zdaje, że panowie — pod naporem rzeczywiście tragicznego położenia Warszawy, które rozumiem — zapominają, że toczy się największa wojna świata i że o ostateczne zwycięstwo trzeba walczyć jeszcze wszystkimi siłami, unikając nagłych improwizacji."

Ostatecznie zgodzono się, by nad Polskę znów poleciały załogi polskie, a później także brytyjskie i południowoafrykańskie. W ciągu czterech nocy od 13 do 16 sierpnia 10 polskich załóg oraz 24 brytyjskie i południowoafrykańskie próbowały dotrzeć do Warszawy. Dokonano 20 zrzutów na miasto, z czego 15 odebrali powstańcy. Ale w czasie operacji zginęły 3 załogi polskie, 7 południowoafrykańskich i 5 brytyjskich — a więc prawie połowa tych, które osiągnęły stolicę. Dalsze 3 samoloty rozbiły się przy lądowaniu. Prawie wszystkie, które powróciły, zostały poważnie uszkodzone.

Wtedy stało się jasne, że przeloty zaopatrzeniowe, o które wołała walcząca Warszawa, przesunęły się poza granicę sensownych operacji wojskowych.

63 DNI W ŚWIETLE DOKUMENTÓW

W „Życiu Literackim" Barbara Seidler Andrzej Czałbowski prezentują wybór z dokumentów, które zachowały się z okresu Powstania Warszawskiego. Autorzy przedstawiają w ten sposób wydarzenia 63-dniowego powstania z myślą o tym, by czytelnicy, dla których w większości Powstanie Warszawskie to już tylko historia, lepiej mogli zrozumieć dramat jaki się rozegrał w Stolicy w sierpniowe i wrześniowe dni 1944 roku.

*

„Walka Młodych" publikuje na stronicy tytułowej zdjęcie anonimowego fotografa, który utrwalił w powstańczej Warszawie scenkę dla nas symboliczną: czterej pancerni i pies.

„Oni — czytamy — to powstańcy ze zgrupowania batalionu „Ruczaj", owczarek zaś był towarzyszem jednego z żołnierzy. Nie udało się nam, niestety, ustalić szczegółów — nie znamy autora fotografii, ani też nazwisk pozujących żołnierzy. Może ktoś z Czytelników pozna bohaterów? Może uda się ustalić ich nazwiska, pseudonimy i losy? — apeluje „Walka Młodych".

NAUKA I ODPOWIEDZIALNOŚĆ

„Kultura" kontynuuje cykl publicystyczny na temat nauki i jej społecznych skutków. Tym razem wypowiada się **prof. dr Arkadiusz Piekara** — kierownik Zespołu Fizyki Instytutu Podstawowych Problemów Chemii Wydziału Chemicznego Uniwersytetu Warszawskiego.

Autor podziela stanowisko tych, którzy sądzą, że uczony odpowiedzialny jest za rzetelność wykonywanej przez siebie pracy twórczej, za prawdę naukową, jaką ona niesie. Natomiast za zastosowanie wyników jego pracy, odpowiedzialni są ci, którzy wyniki te wdrażają do godziwych lub niegodziwych celów, albo wdrażaniu temu dopomagają.

„Pogląd jest tak oczywisty — czytamy — w swej słuszności, że nie zgadzanie się z nim wygląda na kompletną niedorzeczność. Bo proszę zważyć, że w konsekwencji przeciwnego poglądu:

po pierwsze — uczony bałby się robienia odkryć, nie wiedząc, czy za któreś z nich nie zostanie — w wyniku odpowiedzialności — potępiony. Prawdę powiedziawszy, pęd do poznania tajemnic natury u prawdziwego uczonego jest tak wielki (a i optymizm niemały), że nic go nie powstrzyma od badania świata i od dążenia do odkrywania nowych prawd. Niemniej samo istnienie potencjalnego potępienia za badania naukowe wykorzystane do niegodnych celów zniszczyłoby naukę;

po drugie — ażeby uchronić uczonych od potępienia, a naukę od zniszczenia, trzeba by wprowadzić zabezpieczenie tajemnicy odkryć naukowych, na wszelki wypadek wszystkich, by nie dopuścić do niegodziwego ich zastosowania. Ale już to samo równałoby się zniszczeniu nauki, jako najpiękniejszego humanistycznego czynnika, łączącego ludzi całego świata. Zresztą doświadczenie ludzkości już pokazało, że tajemnice długo nie istnieją".

*

Wszystkim — a zwłaszcza tym, którzy wypoczywali na wybrzeżu koszalińskim, bądź zamierzają się tam udać — polecamy reportaż Wojciecha Adamieckiego z cyklu „Polskie konfrontacje"; w **„Życiu Literackim"** pisze on o najmłodszym dziecku Rzeczypospolitej czyli właśnie o Koszalińskiem, które w lecie jest ogólnopolskim kempingiem. W **„Tygodniku Kulturalnym" Ewa Rumińska** pisze o chłopcach z zespołu „No — to co"; Zmotoryzowanym warto polecić lekturę artykułu W. Najhajta, który w **„Motorze"** pisze **„O paliwie i olejach w środku sezonu".**

LEKTOR

GŁOS TYGODNIA
3 VIII 1969 Nr 405